

„Ewa Pirce przychodzi do nas z *Obietnicą* niezapomnianych emocji. Ta historia to niezwykle ekscytująca, emocjonująca opowieść o tym, że w życiu lepiej wybaczać niż dać się ponieść goryczy zemsty. Charyzmatyczne postacie, zaskakujące wątki i miłość, która przychodzi w najmniej odpowiednim czasie. Obiecuję Wam, że długo nie zapomnicie o *Obietnicy*”.

Justyna Leśniewicz, „Książko, miłości moja”

„Powieść Ewy Pirce jest jak rwąca rzeka. Zanurzasz się w nią, tracisz oddech i zostajesz wciągnięty w wir pędzących zdarzeń. Porywa Cię wodospad emocji, a niespodziewane zwroty akcji niczym rozszalałe fale nie pozwalają wydostać się na brzeg”.

Martyna Kubacka,
autorka książek „Bezczelna” i „Bez pamięci”

„*Obietnica* to opowieść nieprzewidywalna, pełna tajemnic, w której przeszłość przeplata się z teraźniejszością i nie daje o sobie zapomnieć. Ta historia pozostanie z czytelnikiem na długo, rozszarpie mu serce i sprawi, że nie oderwie się od niej aż do ostatniej strony”.

Sylvia Cegieta, portal www.sylwiacegieta.pl

„Ewa Pirce wysyła nas w podróż pełną emocji, napiętości i zwrotów akcji. Jej książka nie jest słodką powieścią o rodzącym się uczuciu między dwojgiem ludzi, ale poruszającą kompozycją, która złamie Wasze serca, a zakończenie sprawi, że będziecie rwać włosy z głowy”.

Patrycja Bomba, portal BookParadise

„*Obietnica* to książka, która serwuje czytelnikowi ogrom emocji. Siedzą w zakamarkach naszych umysłów i czekają na eksplozję. Historia jest tajemnicza, wciąga od pierwszych stron i pędzi jak rozszalały pociąg, którego nie sposób zatrzymać. Pokazuje, że miłość jest silniejsza niż żądza zemsty”.

Justyna Lubieniecka, „Oczarowana czytaniem”

Copyright ©
Ewa Pirce
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved
Na okładce zdjęcie Kamila Nizińskiego
(www.kamilnizinski.com)
Instagram: kamilnizinski
Facebook: nizinskikamil)
oraz
Moniki Synytycz
(Instagram: synytycz
Facebook: monikasynytyczpl)

Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Anna Kędra
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-754-5

EWA PIRCE

OBIETNICA

OŚWIĘCIM 2018

DEDYKACJA

*Dla mojej siostry Martyny – za to, że nigdy z nas nie zrezygnowałaś
i zastąpiłaś mi matkę, poświęcając własne szczęście.*

*Oraz dla Agnieszki – za troskę, opiekę
i bezwarunkową miłość.*

Dziękuję, moje kochane.

PROLOG

Mad World – Gary Jules

– Widzisz, Brandon, niepotrzebnie wetknąłeś nos w nie swoje sprawy. – Mężczyzna w grafitowym garniturze stał przed obszernym oknem i skanował wzrokiem panoramę miasta.

– W nie swoje sprawy?! Na Boga, ta firma należy do mnie, Thomasie. – Brandon poderwał się z fotela, mocno wzburzony. – Mój ojciec zbudował ją od podstaw, dzięki niej ty i twoja rodzina wieiecie dostatnie życie. Nie pozwolę ci zrobić tego, co zamierzasz. Nie kosztem niewinnych ludzi. Zdajesz sobie sprawę, ile rodzin straci domy i oszczędności, na które pracowali całe życie?!

Thomas odwrócił się na pięcie i z grymasem wściekłości na twarzy podszedł do wspólnika. Dzieliło ich jedynie solidne dębowe biurko.

– A ty, Brandon, zdajesz sobie sprawę, ile na tym zarobimy?! Taka suma pieniędzy pozwoli nam, naszym dzieciom, a nawet wnukom przez lata pławić się w luksusie. To miliardy, Brandon, do cholery! Nie pieprzone tysiące, o które ty zabiegasz. – Dla podkreślenia swoich racji uderzył dłońmi w twardey blat.

– Nie mamy o czym dyskutować. Nie dopuszczę do tego, póki żyję! Nie zniszczysz tylu istnień tylko dla kilku dolarów. Są ważniejsze rzeczy od pieniędzy, Tom. Nie będziemy bogacić się na czyimś nieszczęściu. W przyszłym tygodniu podpiszemy kontrakt z Rosjanami.

Mężczyzna parsknął i opadł na skórzany fotel.

– Masz dzieci, Brandon... Myśl o nich, do cholery! – ciskał gromy pod adresem partnera w interesach.

– Nie chcę, żeby moi synowie żyli za pieniądze z imperium zbudowanego na krzywdzie innych ludzi.

Mierzyli się gniewnymi spojrzeniami, a pełną ciężkiego napięcia ciszę przerwał dopiero dźwięk telefonu. Brandon wyciągnął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Uśmiechnął się pod nosem, widząc zdjęcie, które pojawiło się na wyświetlaczu.

– Przepraszam na moment – bąknął. – Cześć, synku – odezwał się łagodnym, pełnym czułości głosem, zupełnie innym od tego, którego używał w rozmowie ze współnikiem. – Tak, wiem, obiecałem i dotrzymam słowa. Będę w domu za dwadzieścia minut. Powiedz mamie, żeby wzięła coś do jedzenia dla Astona, bo po meczu zamierzam zabrać was w pewne miejsce. I nie zapomnij swojej rękawicy, poćwiczmy rzuty. – Uśmiechał się, słuchając podekscytowanej paplaniny starszego syna. – Też cię kocham, Brian – powiedział po chwili i się rozłączył.

Westchnął głośno, nim ponownie spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

– Muszę iść, rodzina na mnie czeka. – Zgarnął z biurka teczkę i schował ją do skórzanego aktówki. Wstał i skierował się do drzwi. Jednak zanim wyszedł, jeszcze raz utkwiał wzrok w rozmówcy. – Thomas, nawet nie myśl o podpisaniu tej umowy za moimi plecami. – Jego słowa podszyte były ostrzeżeniem. – Jesteś moim przyjacielem, ale pamiętaj, że to ja mam decydujący głos, a póki żyję i mój syn nie osiągnie pełnoletności, większość udziałów należy do mnie. Nie bez powodu taką decyzję podjęli nasi ojcowie – oznajmił twardo, po czym pośpiesznie opuścił gabinet.

– Póki żyjesz... – wymamrotał Thomas, wpatrując się ze złością w stojącą na skraju biurka rodzinną fotografię. – Póki żyjesz, Brandon.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i szybko wybrał nazwisko z listy kontaktów. Po kilku sygnałach osoba, do której dzwonił, odebrała telefon.

– Wyjechał – rzucił lakonicznie i szybko zakończył połączenie. Obszedł biurko i chwycił ramkę ze zdjęciem, gniewnie zaciskając na niej palce. – Trzeba było się nie upierać, głupcze – prychnął, wrzucił fotografię na spód szuflady i zamknął ją z trzaskiem. Usiadł w czarnym skórzanym fotelu, wyciągając przed siebie nogi. – Mogłeś mnie posłuchać – stwierdził i oparł się wygodnie. – Moje... – Potarł piękny blat biurka, uśmiechając się mrocznie, niemal na granicy obłąkania. – Teraz wszystko jest moje.

PUNKT

1

Broken Parts – Måns Zelmerlöv

Pięć lat później

Zerknąłem na zegarek, którego wskazówki powoli sunęły po białej tarczy. Była druga w nocy, jeszcze tylko pięć godzin i rozpocznę nowy etap w swoim życiu. Pięć godzin i zacznę realizować plan, który układałem w głowie przez ostatnich pięć długich lat.

Przewróciłem się na bok i zapatrzyłem w widok za oknem. Ciemne niebo pokrywały migoczące punkciki, które przypominały pyłki brokatu rzucone na czarny arkusz papieru. Od zawsze uwielbiałem gwiazdy – spokojne, nieznające bólu, cierpienia i rozpaczcy ciała niebieskie, dodające magii każdej nocy.

Nagle moje uszy wypełnił cichy szloch. Westchnąłem ciężko i przekręciłem się na plecy. Wiedziałem, że to matka znowu płacze. Po raz tysięczny zacząłem się zastanawiać, jak wielka miłość musiała ją łączyć z ojcem, skoro tyle lat od jego śmierci wciąż za nim tęskni, wciąż go oplakuje. Czy to w ogóle możliwe, by taka miłość istniała?

Poczułem przyływ złości. To ON za wszystko odpowiada. Jest winien śmierci ojca i rozbicia naszej rodziny. Ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, co przeżyliśmy, za to, ile musieliśmy znieść upokorzeń, za to, jak w dalszym ciągu cierpimy. Jeszcze jako dziecko postanowiłem, że poświęcę wszystko, żeby

zemścić się na Thomasie Hendersonie. Pięć lat ciężkiej pracy, nauki i intensywnego planowania doprowadziły mnie do Eton – miejsca, które miało mi pomóc wcielić w życie moje zamiary.

To jedyna w swoim rodzaju prestiżowa szkoła ucząca tego, co w życiu najbardziej istotne. To tam kształcą się głowy państw i inne wielkie osobistości. Założył ją w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku król Henryk VI. Tata często mi o niej opowiadał. Pragnął, żebym kiedyś został jednym z jej podopiecznych. Do dziś pamiętam jego słowa:

– Każdy z uczniów nosi taki sam, niezmieniony od stuleci, mundur, na który składa się czarny frak, kamizelka i pasiaste spodnie. Będiesz w szkole, Bri, a wyglądem dorównasz królom. – Zaśmiał się ciepło. – Do tego dochodzi biały krawat, a także cylinder i laska na formalne okazje. Początkowo nauki w szkole mieli pobierać jedynie arystokratycznie urodzeni chłopcy, lecz z biegiem lat to się zmieniło i dzięki temu, mam nadzieję, staniesz się jednym z jej wychowanków.

Za kilka godzin miałem spełnić marzenia ojca, które z czasem stały się moimi. Postanowiłem, że choćbym miał zaharować się na śmierć, osiągnę ten cel i zrównam z ziemią Hendersona i jego pławiącą się w luksusach rodzinę, a Eton mi w tym pomoże.

Moje rozmyślanie przerwało ciche pukanie. Nim zdążyłem zareagować, drzwi się otworzyły i stanęła w nich mała postać. Blask latarni ulicznych, który wpadał przed okno do pokoju, oświetlił anielską twarzyczkę Astona, mojego pięcioletniego braciszka.

– Co się dzieje, twardzielu? – Uniosłem się na przedramionach, tak by móc go lepiej widzieć.

– Bo wiesz... – zaczął szeptem. – Mógłbym się obok ciebie położyć, jeśli się boisz czy coś... – powiedział, a kąciki moich ust podjechały do góry.

– Ty zawsze najlepiej wiesz, co czuję i czego właśnie mi potrzeba. Chodź. – Odchyliłem kołdrę i poklepałem miejsce obok siebie. Podbiegł do mnie zadowolony, wskoczył na łóżko i przytulił się do mnie z całych sił.

– Już ci lepiej? – zapytał po chwili.

– Idealnie. A ty dlaczego nie możesz spać?

– Mamusia znów płacze. – Zabijał mnie smutek, który od niego emanował. – Nie lubię, kiedy to robi. Przecież jest duża i nie powinna płakać. – Głos mu się załamał.

– Ja też tego nie lubię, Aston, ale dorośli też czasami płaczą. – Próbowałem go pocieszyć.

– Dlaczego?

– Najczęściej dlatego, że są smutni.

– A mamusia jest bardzo często smutna.

– Jest... – Nie wiedziałem, co sensownego mógłbym mu powiedzieć. Sam sobie nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego matka zachowuje się w taki sposób od tylu już lat. Przecież rany się zablźniają. Nie została sama, ma dzieci, więc to dla nich powinna żyć, dla nich powinna przyklejać do ust uśmiech, nawet jeśli jest źle, i brnąć przed siebie. Niestety, odkąd tata rzekomo popełnił samobójstwo, jest pogrążonym w żałobie wrakiem człowieka. Starałem się przejąć jak najwięcej obowiązków, żeby ją odciążyć, ale będąc nastolatkiem, niewiele mogłem zrobić. Jedyne, co mi pozostało, to dostać się do wymarzonej szkoły i zdobyć tytuł naukowy, dzięki któremu udałoby mi się w przyszłości odzyskać pozycję, jaką kiedyś zajmowaliśmy, i zemścić się na ludziach odpowiedzialnych za nasz upadek. Oni zniszczyli moją rodzinę, pogrzebali nas jeszcze za życia. Niegdyś należeliśmy do elity, rodzice byli stałymi bywalcami bankietów i członkami nowojorskiej elity, ludzie się z nimi liczyli. Teraz ledwo starczało nam na rachunki i jedzenie. Dlatego postanowiłem się zemścić.

– Bri... – w moje rozmyślenia ponownie wdarł się głos Astona.

– Hmm?

– Musisz jechać?

– Muszę, twardzielu, a ty zaopiekujesz się mamą. To tylko kilka lat, będę cię odwiedzał tak często, jak tylko się da, i obiecuję dużo pisać. Mama ci przeczyta zawsze do snu mój list, okej? –

zapewniłem żarliwie, choć czułem ból w sercu na samą myśl, że lada chwila opuszczę mojego małego braciszka.

– Okej. Będę strasznie za tobą tęsknił. – Pociągnął nosem.

– Ja za tobą również, Aston. – Pocałowałem czubek jego małej, pokrytej ciemnymi lokami główki. – A teraz śpij i niech ci się przyśni Barbie w towarzystwie tęczyowych kucyków – zażartowałem.

– Brian! Ja nie jestem dziewczynką! – oburzył się.

– Wiem, wiem... Śpij, nicponiu, śpij. – Mocniej go do siebie przytuliłem.

– Dobranoc, Bri. Kocham cię.

– Też cię kocham, dzieciaku.

Po kilku minutach oddech Astona się unormował, więc wiedziałem, że zasnął. Pocałowałem go w policzek i przymknąłem oczy. Czekając w ciszy na poranek, przywołałem wspomnienia.

Stałem przed domem, czując ogromne zniecierpliwienie. Tata obiecał, że dziś zabierze mnie na mecz Jankesów z bostońskimi Red Soxami. Miał to być też pierwszy mecz Astona, który skończył dopiero kilka miesięcy, ale to nic – chciałem, żeby w tym uczestniczył, żeby już poznał ten niepowtarzalny klimat rozentuzjasmowanego tłumu. Chciałem, by mój młodszy braciszek tak jak ja zapalał miłością do baseballu i tej nowojorskiej drużyny.

Przestępowałem z nogi na nogę, wypatrując samochodu przy bramie wjazdowej, ale nadaremnie. Tata się spóźnił. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Zawsze robił to, co obiecał. Spojrzałem na swój zegarek marki Garmin, który wcześniej należał do taty. Według wskazówek powinien tu dotrzeć trzydzieści minut temu. To nie w jego stylu. Z nudów i zniecierpliwienia zacząłem obracać w dłoni piłkę. Nie trwało to jednak długo, ponieważ usłyszałem za sobą kroki, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem zmierzającą ku mnie mamę.

– Hej, przystojniaku. – Uśmiechnęła się do mnie tak, jak tylko mama potrafi.

– Nie ma go jeszcze – jęknąłem, rzucając piłkę przed siebie. – I tak już nie zdążymy na mecz.

– Zaraz na pewno przyjedzie, a jeśli spóźnimy się kilka minut, nic się nie stanie. – Pogłaskała mnie po głowie. – Zadzwoń do niego ponownie, może tym razem odbierze. – Pocałowała mnie w skroń i oddaliła się w kierunku naszej posiadłości.

Ruszyłem po piłkę, która potoczyła się po trawniku. Podnosząc ją, zauważyłem jakiś ruch. Pobiełem na podjazd, gdzie dostrzegłem policyjny radiowóz. Oddech uwiązł mi w gardle, serce zamarło, a przez całe ciało przeszła fala strachu. To nie wróżyło niczego dobrego.

Wtedy zobaczyłem mamę, która wybiegła na zewnątrz. Policjant podszedł do niej i powiedział coś, czego nie byłem w stanie usłyszeć. Nie musiałem, wyraz twarzy mamy powiedział mi wszystko. Wiedziałem, co się stało. Po co przyjechała policja i dlaczego tata nie wracał. Głośny i przerażający krzyk przeszył ciszę, echo maminego głosu niosło się w dal.

Z trudem oderwałem stopy od ziemi i ruszyłem do niej sprintem. Upadłem na kolana tuż obok i objąłem ją najmocniej, jak potrafiłem. Poczułem coś mokrego na twarzy i zdałem sobie sprawę, że płaczę.

– Nie ma go, Brian... – wyszeptwała z rozpaczą w zgięcie mojej szyi.

– Bri! Bri! No wstawaj już! – Czułem, jak ktoś szarpie mnie za ramię.

Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą rumianą twarz Astona. Przetarłem ręką oczy, by pozbyć się resztek snu. Zimny pot spływał mi po karku, ale starem się go ignorować, tak samo jak nieznaczne drgawki, które targały moim ciałem. Działo się tak zawsze, gdy nawiedzały mnie retrospekcje z tego strasznego dnia, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci ojca.

– Hej, twardzielu, musiałem przysnąć – odezwałem się ochryplym głosem.

– Mama kazała cię obudzić, chociaż nie chciałem tego robić. Miałem nadzieję, że zaśpisz i mnie nie zostawisz. – Jego usta wykrzywiły się w podkowę.

Słowa te i nieszczęśliwa mina mocno mnie ukłuły. Nie chciałem zostawiać bliskich, a przede wszystkim nie chciałem zostawiać Astona. Nie miałem pewności, czy matka da radę się nim opiekować, ale wiedziałem, że w szerszej perspektywie pomogę im bardziej, jeśli wyjadę.

Uśmiechnąłem się do braciszka i chwytając go za dłoń, wciągnąłem na łóżko i zacząłem łaskotać.

– Nie, Bri! Nie... Zsiusiam się! – krzyczał i śmiał się jednocześnie. Był to najwspanialszy dźwięk na świecie. Świadomość, że jutro nie będzie mnie obok niego, cholernie bolała. Żeby zagłuszyć to paskudne uczucie, spojrzałem na zegarek. Była siódma.

– Cholera! – zakląłem, zapomniawszy, że uszy Astona chłoną wszystko. Jednak teraz to stanowiło najmniejszy problem. – Już powinienem być gotowy. Za piętnaście minut będzie tu pani Donovan!

Zeskoczyłem z łóżka, omijając brata.

– To ta twoja nauczycielka? – Aston powlekł się za mną.

– Tak, szkrabie, to ona. Odwiezie mnie na pociąg. – Balansowałem na jednej nodze, próbując zachować równowagę, kiedy zakładałem spodnie.

– Aha... Może nie przyjedzie? – W jego głosie pobrzmiwała nadzieja.

– Lepiej, żeby tak się nie stało, bo jeśli nie dotrę na miejsce, to moja i wasza przyszłość legnie w gruzach – odpowiedziałem ostrzej, niż zamierzałem.

– Okej... – Smutek i rozczarowanie, które na nowo zagościły w jego głosie, zmusiły mnie do odwrócenia się ku niemu.

– Nie smuć się, mały, wkrótce was odwiedzę – obiecałem, kłękając przed nim. – I pamiętaj, jesteś twardzielem. Niepokonanym wojownikiem. Bądź silny dla mnie, bo jak nie, to popłaczę się

jak dziewczyna – zagroziłem, robiąc do niego głupkowatą miną, przez co się roześmiał. Potargałem jego loki i chwyciłem z krzesła bluzę, którą ekspresowo włożyłem. Wrzuciłem ostatnie rzeczy do torby i rozejrzałem się po pokoju. – Od dziś to twoja twierdza – obwieściłem uroczyście, na nowo ogniskując spojrzenie na bracie. – Dbaj o ten pokój i o wszystko, co się w nim znajduje.

– Naprawdę?! – Podekscytowany Aston wodził roziskrzonym wzrokiem po pomieszczeniu.

– Naprawdę. – Obdarowałem go szerokim uśmiechem.

– I mogę dotykać komiksów?

– Możesz z nimi zrobić, co ci się żywnie podoba.

– Dziękuję, Bri. – Rzucił się na mnie z impetem i objął moje nogi.

– Proszę bardzo. – Przyklęknałem i wziąłem go w ramiona. Uściśnałem mocno jego drobne ciało, kołysząc nim na boki. – A teraz chodź, muszę jeszcze pożegnać się z mamą. – Wyplątałem się z objęciem brata i wspólnie ruszyliśmy na poszukiwania mamy.

Zastaliśmy ją w kuchni. Stała zgarbiona przy oknie, w rękach miętosila jednorazową chusteczkę. Od śmierci taty nie była już tą samą osobą co kiedyś. Nie była matką i kobietą, którą pamiętałem. Straciła ciepło i blask, jakie od niej emanowały, rozświetlając każde pomieszczenie, w którym przebywała. Teraz była przygaszona, przygnębienie i rozpacz na stałe wyryły się na jej twarzy. Moje serce ścisnęło się z żalu za tym, co straciła, co my straciliśmy razem z nią.

– Opiekuj się nim, mamó. – Podeszedłem do niej i objąłem ją mocno od tyłu. Odwróciła się gwałtownie i zaciśnęła wokół mnie ramiona, czym nieco mnie zaskoczyła. Już w tym momencie byłem od niej wyższy, a miałem dopiero piętnaście lat. Odsunęła się po chwili i chwyciła moją twarz w dłonie.

– Wyglądasz jak tata – wyszeptała, odgarniając mi włosy z oczu. – Jesteś równie przystojny i mądry jak on. Poradzisz sobie, synu, o nas się nie martw. My też jakoś damy radę.

W jej słowach nie było przekonania, ale musiałem wierzyć, że podola. Musiałem mieć taką nadzieję, inaczej nie ruszyłbym z miejsca.

– Będę wam wysyłał tyle pieniędzy, ile będę w stanie – zapewniłem.

– Nie musisz, Brian – odparła, nadal bez pewności.

– Dostałem stypendium, dam radę. Pomogę, jak tylko będę mógł. Kocham cię. – Ścisnąłem ją raz jeszcze, walcząc ze łzami, które cisnęły mi się do oczu. Jestem niemal dorosłym mężczyzną, ale przecież nawet mężczyźni miewają chwile słabości.

– No dobrze, już dobrze. – Odsunęła się szybko. – Pani Donovan podjechała. Chodź, nicponiu, odprowadzimy twojego brata do drzwi. – Wyciągnęła drżącą dłoń w kierunku Astona.

Spojrzałem na małego, który siedział na kanapie, ocierając wierzchem dłoni mokre od łez policzki. Czuję, jak ból rozrywa moje serce na strzępy. Było ciężiej, niż przypuszczałem. Podszedłem do niego, starając się nie rozpłakać.

– Nie płacz, twardzielu – poprosiłem, czochrając jego nieokiełznaną grzywę. – Obiecuję, że gdy tylko dojadę na miejsce, to napiszę. A może nawet kupię ci telefon, przez który będziemy mogli co wieczór rozmawiać.

– Nie chcę telefonu, chcę ciebie, Bri! – załkał żałośnie.

W tym momencie miałem ochotę porzucić swoje cele i zostać z domu, by tylko uszczęśliwić mojego małego braciszka. Ale wiedziałem, że nie mogę tego zrobić, jeśli chciałem, by nasze życie się poprawiło. Na dłuższą metę takie rozwiązanie było najlepsze.

– Wiesz co? Mam pomysł. – Podszedłem do torby, rozsunąłem ją i wyciągnąłem z niej czarną bluzę, którą kupiłem sobie za pierwsze zarobione pieniądze. – Masz. – Podałem mu ją.

– Dajesz mi swoją ulubioną bluzę? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak. Jeśli poczujesz, że musisz się do mnie przytulić, albo będziesz się czegoś bał, po prostu ją włoż. Strach i smutek od razu odejdą.

Niewielki uśmiech pojawił się na jego ustach.

– Dziękuję, Bri – wyjąkał, przyciągając do siebie czarny materiał.

Dźwięk klaksonu przerwał naszą rozmowę. Wziąłem głęboki wdech i pochyliłem się nad Astonem, żeby po raz ostatni pocałować czubek jego głowy.

– Muszę już iść. Kocham cię, braciszku. Zawsze i najbardziej – wyszeptąłem, walcząc z naporem łez, które zalegały pod moimi powiekami.

– A ja kocham ciebie, zawsze i najbardziej. – Raz jeszcze objął mnie mocno swoimi małymi rączkami. – Bardzo cię kocham, Bri – powtórzył, a z mojego oka stoczyła się łza. Nie chcąc, by to zobaczył, chwyciłem z podłogi torbę i nie oglądając się za siebie, wybiegłem na zewnątrz.

Szybkim krokiem podszedłem do samochodu pani Donovan i wsunąłem się na miejsce pasażera, wpierv wrzucając torbę na tylne siedzenie nissana.

– Gotowy na wspaniałą przygodę, Brianie? – zapytała kobieta, posyłając mi ciepły, pełen dumy uśmiech.

– Jak nigdy dotąd – powiedziałem z taką pewnością, na jaką było mnie w tej chwili stać, zapatrzoney w zdezelowany stary dom i małego chłopca stojącego na schodach w sięgającej ziemi bluzie. Przełknąłem łzy i strach, szykując miejsce na siłę i determinację. – Gotowy jak nigdy dotąd – dodałem bardziej stanowczo i odwróciłem wzrok od rozdzierającego serce widoku.

– No to ruszajmy. – Pani Donovan odpaliła silnik i wyjechała z podjazdu, kierując się w stronę stacji kolejowej, skąd za pół godziny miał odjechać pociąg do mojego nowego, miejmy nadzieję, lepszego życia.

PUNKT

2

Down – Jason Walker

Obecnie

Całym moim życiem rządziła jedna myśl: zemścić się na skurwielu, który zniszczył moją rodzinę. Wreszcie nastał ten wielki moment. Coś, do czego dążyłem przez szmat czasu, miało dojść do skutku. Poświęciłem wszystko, by wreszcie móc skosztować smaku zwycięstwa, które było teraz na wyciągnięcie ręki. Lata gnębienia przez rozpущzone, bogate dzieciaki, dla których byłem jedynie płamą na śnieżnobiałych koszulach, w końcu miały zostać wynagrodzone. Lata poniżania i płaszczenia się przed pełnymi pychy snobami tylko po to, by osiągnąć zamierzony cel – zostać jednym z nich.

Udało mi się. Byłem kimś, przed kim ludzie czuli respekt, kimś, kto stawia warunki i żąda, a nie tym, który wykonuje polecenia. Poświęciłem temu najpiękniejsze lata życia, ale się opłaciło. Za niespełna rok miałem stać się potęgą. Potęgą, która zmiecie z powierzchni ziemi tych, przez których musiałem tyle przejść, i odpłaci im ze zdwojoną siłą. Teraz nadchodzi moja era i spełni się obietnica złożona lata temu nad grobem rodziców. *Po trupach do celu* – to zasada, której hołduję.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Brianie, ale jest tutaj pan Andrews. – Moment zadumy przerwał mi dochodzący z interkomu głos sekretarki.

– Dziękuję, Marg, wpuść go – odpowiedziałem, poprawiając się w fotelu.

Po chwili rozległo się pukanie i drzwi z oszronionego szkła, które oddzielały mój gabinet od reszty świata, ostrożnie się otworzyły. Stała w nich starsza kobieta z burzą srebrnych loków, jej twarz rozjaśniał promienny uśmiech. Zza pleców Margaret wyłoniła się chuda postać Jerry'ego Andrews, trzymającego w dłoniach grubą teczkę.

– Witam, panie Wild – rzekł swoim donośnym barytonem i pochyliwszy głowę przed sekretarką, wszedł do gabinetu.

Kobieta wycofała się, zostawiając nas samych. Zmierzyłem Andrews surowym wzrokiem, demonstracyjnie patrząc na zegarek.

– Dwadzieścia minut – warknąłem i przechwyciłem jego spojrzenie.

W jego oczach czaił się strach, który potęgował moje podniecenie. Żywiłem się nim, rosnąc w siłę, którą kumulowałem w sobie, by wykorzystać, gdy nadejdzie odpowiedni moment. Już dawno nauczyłem się, że to, co dla innych jest słabością, dla mnie staje się siłą.

– Proszę wybaczyć, ale na Times Square zdarzył się wypadek. Korek mnie zablokował. Wiem, jak bardzo pan nie lubi braku punktualności, ale to naprawdę nie było ode mnie zależne – kajał się. Nawet z tej odległości widziałem krystalizujące się na jego czole krople potu.

Zmrużyłem oczy, przyglądając się mu w skupieniu. Pozwalałem, by jego lęk rozrastał się niczym bluszcz oplatający mury domu, w którym niegdyś mieszkalem.

– Naucz się jednego, Andrews. – Oparłem się wygodnie i złożyłem ręce na udach. – W moim słowniku nie ma takich słów jak „nie było ode mnie zależne” – wysyczałem. – Wszystko na tym pieprzonym świecie zależy od nas. „Nie mogę”, „nie dam rady”, „nie umiem” to tylko wymówki osób, które nie chcą, które są zbyt leniwe i bojaźliwe, by zawalczyć. Uważasz, że osiągnąłbym

to, co mam teraz, gdybym na każdym kroku się poddawał i nie parł do przodu mimo niepowodzeń i przeciwności losu?

– Nie, proszę pana. Oczywiście, że nie. To się więcej nie powtórzy – zapewnił.

– Oczywiście, że się nie powtórzy, ponieważ zostawisz to, co dla mnie masz, zdasz mi szczegółowe sprawozdanie, a potem wyniesiesz się z mojej firmy i nigdy więcej tu nie wrócisz. – Nawet nie drgnęła mi powieka.

Jego oczy rozszerzyły się w szoku.

– Ale, panie Wild... to moje pierwsze potknięcie. – Wił się pod moim spojrzeniem, a ja napawałem się zapachem jego strachu. – Nigdy pana nie zawiodłem i przysięgam, że to się więcej nie powtórzy. Proszę mnie nie skreślać, proszę dać mi szansę na poprawę. – Jego twarz przybrała błagalny wyraz. Niemal zrobiło mi się go żal. Niemal.

– Miałeś ją, Andrews, ale nie wykorzystałeś. Nie ponizaj się, zachowaj resztki godności. Ja nie dam drugich szans, nie stać mnie na to. Mój czas jest cenny, a ty mi go kradniesz. Okradając mnie z niego, to tak jakbyś okradał mnie z pieniędzy. Mów, co masz do powiedzenia, resztą zajmie się Margaret. – Przyszpilałem go wzrokiem, czekając na próbę walki. Ale po mowie ciała wiedziałem, że nie zamierza jej podjąć. *Tchórz.*

Jerry Andrews pełnił funkcję mojego prawnika od pięciu lat. Faktem jest, że nigdy nie zawiodł – aż do dzisiaj, gdy się spóźnił. Był to jego pierwszy, a zarazem ostatni raz, bo oprócz niesubordynacji, głupoty i infantylności wśród ludzi, w szczególności tych, którymi się otaczam, nienawidziłem braku woli walki oraz marnotrawienia czasu. Czasu, który mógłbym poświęcić na coś konstruktywnego.

Z rezygnacją podszedł do biurka i położył na nim wypełnioną informacjami o rodzinie Hendersonów teczkę. Sięgnąłem po nią i otworzyłem.

– To sprawozdanie z ostatniego półrocza – poinformował, z trudem przełykając ślinę. – Panią Olivia przyleciała wczoraj z Anglii. Ojciec zacznie ją wprowadzać do towarzystwa. Wszystkie, co dotyczy ukończenia jej edukacji, znajduje się w aktach. Jego żona pręźnie działa w założonej siedem lat temu fundacji, która ma na celu pomoc najuboższym. Wyglądają jak idealna rodzina, ale to tylko pozory. – Pociągnął za kołnierzyk koszuli, jakby coś go uwierało. Kolejna oznaka zdenerwowania. – Dokopałem się też do informacji, że Thomas Henderson będzie ubiegał się o stołek burmistrza Nowego Jorku. – Nagle do jego głosu zakradła się nuta dumy. Myślał, że tym mnie udobruchał. *Głupiec*.

– A to ciekawe, naprawdę ciekawe – stwierdziłem, rzucając okiem na zdjęcie córki mojego największego wroga.

– Ładna, prawda? – zapytał Andrews, posyłając mi głupkowaty uśmiech. Widząc moją minę, zamilkł natychmiast, a na jego policzkach pojawiły się szkarłatne plamy.

Fakt, Olivia Henderson była piękną kobietą, lecz jak setki innych chodzących po ulicach Nowego Jorku. Ciemna blondynka, średniego wzrostu, szczupła, ale nie wychudzona. Z pewnością jej największym atutem były oczy. Duże, wyraziste jak u sarny. Spojrzenie niemal identyczne co u Audrey Hepburn. Niemniej jednak bardziej od jej powierzchowności interesowało mnie to, jaka jest. Od dziesięciu lat bacznie śledziłem poczynania jej rodziny. Wiedziałem o nich więcej niż oni sami o sobie. I wszystkie te informacje już wkrótce zamierzałem wykorzystać przeciwko nim.

– Za dwa dni odbędzie się przyjęcie z okazji powrotu dziewczyny do miasta. Wielka sprawa, zostali zaproszeni wszyscy, którzy liczą się w świecie biznesu.

Na te słowa oderwałem wzrok od fotografii i skupiłem uwagę na rozmówcy.

– Wiem. Dostałem zaproszenie jako jedna z pierwszych osób.

– No tak, przepraszam – odparł, zmieszany swoją bezmyślnością.

Pokiwałem z niesmakiem głową, zastanawiając się, jak udało mu się pracować dla mnie przez te pięć lat.

– Jesteś już wolny – oznajmiłem. – Odprawą i wszelkimi formalnościami zajmie się pani Roberts. Dziękuję za współpracę. – Wstałem i wyciągnąłem ku niemu dłoń, którą ujął z rezerwą.

Uścisk dłoni może wiele powiedzieć o osobie, która stoi na przeciw nas. Ten Andrews zdradzał niepewność i wycofanie. Ścisnąłem ją mocniej, utrzymując kontakt wzrokowy, od którego usilnie próbował uciec. Widziałem, że chce coś powiedzieć, wahał się jednak i toczył wewnętrzny pojedynek. Ostatecznie zwieścił ramiona, puścił moją dłoń i ruszył do drzwi.

– Andrews, jeszcze jedno – zatrzymałem go.

Odwrocił się natychmiast, prostując plecy, i wlepił we mnie pełen nadziei wzrok.

– Tak, panie Wild?

– Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw to, nad czym dla mnie pracowałeś, najpierw zniszczę każdego członka twojej rodziny, a potem ciebie. W tej właśnie kolejności, byś mógł patrzeć na ich cierpienie. – Moim słowom towarzyszyły powaga i stanowczość.

– Nigdy w życiu, panie Wild. Wszystko, co zebrałem, oddawałem panu i nikt nigdy się o tym nie dowie. Nigdy – zarzekał się.

– Oby – szepnąłem złowieszczo i ponownie usiadłem w skórzanym fotelu, odwracając się od niego. Wbiłem wzrok w rozpościerające się na całej ścianie okno, spoglądając na tętniący życiem Manhattan, nad którym dumnie królował Empire State Building. Tym samym dałem mu do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Gdy mój, już teraz były, prawnik zostawił mnie samego, zabrałem się do studiowania nowych faktów o rodzinie, którą zamierzałem doprowadzić do ruiny. Kilka nowych informacji było nad wyraz ciekawych. Henderson lubił ekskluzywne dziwki i hazard. *Brak ostrożności i zbyt duża pewność siebie usypiają czujność*, uśmiechnąłem się pod nosem, oglądając kompromitujące, wręcz

odpychające zdjęcia Thomasa Hendersona. Patrzyłem na starca klęczącego przed odzianą w czarną skórę i lateks kobietą. Był nagi, usta miał zakneblowane czerwoną kulka, a domina chłostała go pejcem. Nawet nie zamierzałem wyobrażać sobie, czego dopuszcza się ten stary zboczeniec, by zaspokoić pragnienia. Z obrzydzeniem odrzuciłem zdjęcia na bok i sięgnąłem po coś, co interesowało mnie znacznie bardziej. *Olivia*. Jego córeczka. To z pozoru nieskazitelna młoda kobieta, której niewiele można było zarzucić. Byłem jednak pewien, że ma coś do ukrycia. W końcu każdy z nas skrywa jakieś grzechy, których pieczołowicie strzeże, i ona z pewnością nie stanowiła wyjątku. Maską grzecznej dziewczynki prędzej czy później miała zostać zerwana, obnażając brzydotę i grzeszność, jaką naznaczona jest ta rodzina.

Wiedziałem, że jej pasją było jeździectwo. Dlatego zacząłem inwestować w konie czystej krwi arabskiej i angielskiej, których pozazdrość mógł mi niejeden hodowca. Szczerze powiedziawszy, dość szybko pokochałem zarówno te stworzenia, jak i jazdę w siodle. Lubiłem wyrwać się za miasto, do Berne, gdzie znajdowała się moja mała stadnina. Lubiłem się odstresować, galopując po równinach, lasach i pagórkach. Choć nauka jazdy konnej stanowiła część planu, nie wiadomo kiedy stała się moją ulubioną rozrywką. Wiedziałem, że Henderson lubił wyścigi, więc jakiś czas temu zacząłem też wystawiać w zawodach swoje wierzchowce. Starłem się, by moje nazwisko wpadało w jego uszy jak najczęściej.

Uśmiechnąłem się do siebie, zamykając teczkę. Podeszedłem do wiszącego na ścianie sejf i umieściłem ją obok pięciu innych, które się tam znajdowały. Wszystkie zawierały informacje o członkach rodziny Hendersona. Posiadałem nawet szczegółowe dane o jego pracownikach. Taki już byłem – jeżeli cokolwiek rozpoczynałem, musiałem być do tego perfekcyjnie przygotowany.

– Brianie, czy masz ochotę na kawę? – usłyszałem głos Margaret. Nie był oficjalny, lecz ciepły i opiekuńczy.

Zamknąłem sejf i podszedłem do biurka, gdzie wcisnąłem przycisk interkomu.

– Nie, Margaret. Dziękuję – odpowiedziałem.

– To może coś zjesz? Cały dzień siedzisz tam zamknięty, załabniesz z przemęczenia – zrzędziła, ale wiedziałem, że chciała dobrze.

Przewróciłem oczami i westchnąłem głośno, co było błędem, ponieważ zaraz po tym zaczęła swój nigdy niekończący się wykład.

– Mój drogi, nie ma co wzdychać, nie masz już dziesięciu lat. Regularne jedzenie jest bardzo ważne, nie tylko ze względów fizycznych. Musisz się odżywiać...

– Okej, Margaret – wszedłem jej w słowo. – Pójdę za chwilę coś zjeść, nie kłopotz swojej ślicznej główki moim pustym żołądkiem.

– Na pewno pójdziesz? – naciskała.

– Tak, pójdę – obiecałem, wiedząc, że nie da mi spokoju, dopóki nie zrobię tego, czego chce.

– Masz mi przysłać zdjęcie tego, co zamówisz. Bo inaczej przyjdę na Upper East z moją zapiekanką makaronową i zmuszę cię do jedzenia.

– O nie! – powiedziałem z udawanym przerażeniem. – Tylko nie to. Przysięgam, już jadę do Fire Bird i należycie się posilę.

– Masz za czterdzieści minut jeszcze jedno spotkanie. Pamiętaj, przychodzi pani Newton, która ma przeprowadzić z tobą wywiad do „Daily News”.

– Dziękuję za przypomnienie. Zdamę do tej pory wrócić.

Nie lubiłem wywiadów, zdjęć, imprez charytatywnych i innych form pajacowania przed ludźmi. Starąłem się ograniczyć te cyrki do absolutnego minimum. Niestety czasami trzeba zaciśnąć zęby i założyć maskę, by móc wspiąć się jeszcze wyżej.

Uporządkowałem biurko i skorzystałem z toalety. Zgarnąłem z wieszaka marynarkę i poprawiłem krawat, po czym nieśpiesznie wyszedłem z gabinetu.

– Aha, Margaret. – Zatrzymałem się przy jej biurku. – Poszukaj, proszę, trzech najlepszych prawników w tym mieście i umów mnie z nimi na jutro. Najlepiej na godzinę piętnastą trzydzieści, niech się nie spóźnią.

– Już dwóch zwerbowałam – oświadczyła z zadowoleniem. – Po przygotowaniu wszystkich papierów potrzebnych do odprawy i poinformowaniu kadry o zwolnieniu Andrews. Wiedziałam, że będziesz kogoś potrzebował na jego miejsce. – Na jej twarzy zagościł przebiegły uśmiech.

– Wyjdź za mnie – zażartowałem.

– Jesteś dla mnie za stary i za brzydki, chłopcze. – Jej uśmiech zmienił się w figlarny.

Chwyciłem się teatralnie za serce, kiwając głową z nieskrywanym żalem.

– Masz rację, jesteś dla mnie zdecydowanie za dobra. – Puściłem jej oczko i ruszyłem w kierunku windy.

Kiedy przechodziłem koło lady recepcji, siedząca za nią Jennifer wstała i skłoniła mi się lekko.

– Panie Wild.

Nie odpowiedziałem. Pracownicy uważali mnie za zimnego, bezwzględnego, wywyższającego się tyrana. Nie przeszkadzało mi to, bo właśnie tak chciałem być postrzegany. Prawdziwego mnie znała tylko jedna osoba – Margaret. Z życia wyciągnąłem bardzo istotną lekcję: *nie ufać*. Ponieważ ufać komuś to tak jakby dać mu do ręki odbezpieczoną broń. Dawniej do tego wąskiego grona należał również mój brat, ale odkąd zaczął obwiniać mnie o każde nieszczęście i potknięcie w swoim życiu, nasza relacja sprowadziła się jedynie do przelewania przeze mnie pieniędzy na jego konto.

Margaret znałem od trzynastu lat. Pomogła mi podczas jednego z najcięższych okresów w życiu. Dzięki niej i jej wsparciu doszedłem tak daleko. Nie zawsze pochwalala moje postępowanie i nie o wszystkim wiedziała, ale jest jedynym światłem, które rozświetla mój mrok. Zastępowała mi matkę i robiła to tak, że

kobieta, która wydała mnie na świat, mogłaby się od niej uczyć. Była silniejsza, wytrwalsza, a przede wszystkim nigdy nie odebrałaby sobie życia, będąc w zamkniętym domu z dzieckiem. Dzieckiem, które tkwiło z jej rozkładającym się ciałem przez cztery pieprzone dni. Dzieckiem, dla którego dałbym się zabić, a które znienawidziło mnie najbardziej na świecie.

Jestem, kim jestem, i tego nie zmienię. Żyję tylko po to, by zniszczyć i doprowadzić Thomasa Hendersona do takiego samego stanu, do jakiego on doprowadził moją matkę, Astona i mnie. Przez jego chciwość moja rodzina przestała istnieć – stało się tak z dniem, kiedy zachłanność Thomasa zabiła mojego ojca – więc teraz musiał za to zapłacić.

Drzwi windy otworzyły się i pewnym krokiem ruszyłem na przód. Ludzie rozstępowali się na boki, kiedy szedłem. Kobiety bezzwystdnie próbowały skupić na sobie moją uwagę, co było bezzasadne. Jeśli czegoś chciałem, to to brałem, nikt i nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Dotyczyło to również kobiet.

– Panie Wild, samochód czeka – oznajmił portier, otwierając przede mną drzwi budynku i wskazując czarną limuzynę zaparkowaną przy krawężniku.

– Dziękuję, Trevorze – odpowiedziałem staremu Afroamerykaninowi, który kiedyś, siedząc przed budynkiem, gdzie mieści się moja firma, zapytał, czy dam mu dolara. Nigdy nie rozdawałem pieniędzy, ale zaproponowałem mu pracę. Przyjął ją z wielką radością, co znaczyło, że nie był kloszardem żebrzącym na alkohol bądź narkotyki. To była kolejna inwestycja, którą poczyniłem, inwestycja w człowieka o wielkim sercu, jak się później okazało.

Po zjedzeniu fantastycznego posiłku, składającego się z eskalopów jako przystawki, dania głównego w postaci turбота z glazurowanymi warzywami i sałatki owocowej na deser, wróciłem do firmy. Oczywiście zdjęcie mojego posiłku zostało wysłane do Margaret, co w rezultacie spowodowało, że poprosiłem szefa kuchni o przyrządzenie takiego samego zestawu na wynos.

Po powrocie do firmy zdążyłem przejrzeć informacje o dziennikarce, która miała mnie odwiedzić, i raz jeszcze przejrzałem pytania, skrupulatnie układając sobie w głowie odpowiedzi. Punktualnie o szesnastej do drzwi zapukała Margaret, zapowiadając Anne Newton, młodą, pnącą się szybko po szczeblach kariery, dziennikarkę. Pozwoliłem Margaret wziąć sobie wolne na resztę dnia i odesłałem ją limuzyną do przytulnego domku na przedmieściach.

Piękna kobieta, która przede mną stanęła, zdawała się nie być w ogóle podobna do osoby ze zdjęcia, jakie mi przysłano.

– Pani Newton? – Postanowiłem się upewnić, żeby nie popełnić jakiegś gafy.

– Panna – poprawiła mnie.

– Proszę wybaczyć mi nietakt, panno...

– Anna Elizabeth Newton. – Podeszła bliżej i wyciągnęła drobną dłoń.

Uścisk, którym mnie obdarzyła, był silny i pewny. *No, no, twarda sztuka.* Szkoda tylko, że skorzystała z usług chirurga plastycznego, na co wskazywały łagodniejsze niż na fotografii rysy twarzy, napompowane usta i powiększony biust.

– Mogę? – Skinęła na stojącą pod oknem kanapę.

– Proszę. – Wskazałem krzesło po przeciwległej stronie biurka.

– Czy nie wygodniej nam będzie na kanapie? – Zgarnęła długie brązowe włosy i przełożyła je przez ramię.

– Nie jest tu pani dla wygody, a w konkretnym celu. Nie marnujmy więc czasu i zaczynajmy. Ma pani dokładnie dwadzieścia pięć minut – oświadczyłem lodowatym tonem.

– Ale wywiad miał trwać trzydzieści...

– Miał, ale właśnie zmarnowała pani pięć na zbędną pogawędkę. Przypomnę tylko, że z każdą sekundą pani czas się kurczy.

Nie kryjąc niezadowolenia, usiadła na krześle i wyciągnęła notatki. Poszedłem za jej przykładem i umościłem się w swoim fotelu.

- Widzę, panie Wild, że plotki o panu są prawdą.
- A o czym się szepcze, panno Newton?
- Że jest pan aroganckim dupkiem – odpowiedziała odważnie, nie zadając sobie trudu, by na mnie spojrzeć.

Zaśmiałem się cicho i wbiłem w nią przenikliwe spojrzenie.

– Jeśli pan chce, może sobie wydrukować moje zdjęcie. Teraz przejdźmy do rzeczy – zakomenderowała zbyt beczelnie, ale, o dziwo, spodobała mi się jej błyskotliwość i niewyparzony język. – Wiemy, że osiągnął pan dużo w bardzo krótkim czasie. Wiele osób podejrzewa, że prowadzi pan jakieś brudne interesy.

– Jeśli dla tych osób siedemnaście lat to niewiele, to im współczuję, gdyż muszą być pozbawieni jednego z narządów, dzięki któremu dotarłem tak daleko i osiągnąłem to, co mam.

– Mianowicie? – zapytała, wyraźnie skonfundowana.

– Mózgu, panno Newton, mózgu. – Postukałem się palcem w skroń.

– Ach, no tak, proszę wybaczyć. – Jej policzki oblał rumieniec wstydu.

I czar prysł. Przez chwilę, rozkoszując się jej intelektem, byłem w stanie zapomnieć o poprawkach chirurgicznych, jakich się dopuściła. Wydawała się bystra, jej odwaga i cięty język mocno mi zaimponowały, zwłaszcza że niewiele kobiet zdobyłoby się na takie zachowanie w moim towarzystwie. Niestety wszystko zniknęło, gdy rozmowa zaczęła się rozwijać.

– Czyli ma pan za głupców tych, którzy uważają, że zbyt szybko dorobił się pan milionów, jakie posiada – stwierdziła.

– Nie inaczej.

Słyszałem takie opinie już setki razy, dlatego ta wymiana zdań zaczęła mnie nudzić.

– Rozumiem. – Zapisała coś w swoim notesie. – Czy prawdą jest, że ma pan w planach postawić fabrykę półprzewodników w północnej części Nowego Jorku?

– Nie mam w planach – burknąłem, zirytowany faktem, że nie przygotowała się odpowiednio do wywiadu. – Już zdobyłem niezbędne pozwolenia, mam gotowe projekty i nie dalej jak za miesiąc ruszają prace.

Czerwień na jej policzkach pogłębiła się.

– Wielu mieszkańców było temu przeciwnych, protestowali i składali petycje do urzędu miasta, żeby powstrzymać pańskie działania.

– Jak pani wie, światem rządzą pieniądze. Poza tym nie rozumiem, dlaczego tak się oburzają, skoro stworzę miejsca pracy dla około tysiąca czterystu osób, a wiadomo, jak ciężko jest z zatrudnieniem w obecnych czasach. Nic, o co mnie posądzają, nie będzie miało miejsca. Żadne wyburzenia nie są planowane i nie będziemy truć ludzi pierwiastkami promieniotwórczymi. Naszym celem jest rozwój, a oni na tym bardziej skorzystają, niż stracą.

– Jak duża ma być ta fabryka i jak przekona pan mieszkańców, że istnieją pozytywne aspekty płynące z powstania tego dobytku na ich terytorium?

Złożyłem dłonie w wieżyczkę i zacząłem postukiwać o siebie palcami.

– Otóż, droga panno Newton, fabryka ma mieć około czterdzieści dwa tysiące metrów kwadratowych i nie zamierzam po raz kolejny nikogo uświadamiać o korzyściach, jakie będą płynęły z powstania tego miejsca. Poza tym miasto nie jest własnością tych wszystkich oponentów, słono zapłaciłem za ziemię, na której stanie fabryka, i dużo wysiłku włożyłem w to, by w ogóle powstała. Nikt nie jest w stanie stanąć mi na drodze.

Patrzyła na mnie, słuchając uważnie tego, co miałem do powiedzenia. Co chwila marszczyła brwi, jakby próbowała przyswoić płynące z moich ust zdania.

– A czy pogoń za pieniędzmi nie staje na drodze pańskiemu życiu prywatnemu? Z pewnością nie ma pan czasu na randki

i miłość. Czy łatwo jest żyć samemu? – W jej oczach błysnęło zainteresowanie.

Poprawiłem się w fotelu i popatrzyłem na nią chłodnym wzrokiem.

– Tego pytania nie było na liście, którą dostałem.

– Improvizuję. – Ofiarowała mi kokieteryjny uśmiech, przygryzając wystudiowanym sposobem dolną wargę. – Nie czuje się pan samotny? – drążyła, niezrażona moją defensywną postawą.

Odsunąłem się od biurka, wstałem z fotela i zdjąłem marynarkę, którą starannie odwiesiłem na oparcie. Sztywnym krokiem podszedłem do kanapy, rozpiąłem mankiety koszuli i podciągnąłem je do łokci. Odpiąłem pasek, a potem guzik w spodniach i usiadłem na skórzanej kanapie, rozpościerając ręce na oparciu.

– Zapraszam – zachęciłem niskim głosem, spoglądając na jej falującą klatkę piersiową, która rozpychała na boki czerwoną koszulę. Jej piersi były tak wielkie, że odnosiło się wrażenie, jakby za chwilę miały trzasnąć guziki.

Kobieta podniosła się, rzucając na ziemię notatnik, i podeszła do mnie wolnym krokiem, kołysząc przy tym biodrami. Nachyliła się nade mną, żeby mnie pocałować. Odwróciłem głowę w bok, dając jej do zrozumienia, że nic z tego, po czym spojrzałem na rozporek swoich spodni. Załapała aluzję. Opadła na kolana i zaczęła masować mnie delikatnie przez materiał. Patrzyłem na każdy jej ruch i czekałem, aż mój kutas znajdzie się wewnątrz jej ust. Kiedy tak się stało, wypuściłem powietrze z płuc, pozwalając sobie na chwilę relaksu. Tego było mi trzeba po ciężkim dniu, a zamiast z własnej ręki skorzystałem z chętnych warg reporterki. Wiedziała doskonale, co robi, była z niej prawdziwa profesjonalistka. Ssała, lizała, otaczała końcówkę językiem i pompowała dłonią – wszystko w wyważonych proporcjach. Szybko skończyłem, zalewając jej usta gęstym nasieniem. Przełknęła, oblizwała wargi i uśmiechając się z zadowoleniem, wstała, podniosła spódnicę, zrzuciła buty i usiadła na mnie okrakiem.

– Pocałuj mnie. – Ujęła w dłonie moją twarz.

– Żartujesz? – Chwyciłem jej nadgarstki i odciągnąłem je od siebie. – Przed chwilą doszedłem w twoich ustach, nie ma mowy, żeby teraz znalazł się tam mój język. Poza tym nie wiem, z kim dzisiaj prócz mnie przeprowadzałaś wywiad. – Zsunąłem ją z siebie, podniosłem się i poprawiłem ubrania.

– Serio? Czy ty sobie, kurwa, kpisz? – W jej głosie słychać było wściekłość i niedowierzanie.

– Koniec wywiadu – oznajmiłem. – Właśnie dostałaś odpowiedź na swoje ostatnie pytanie. Kiedy wyjdę z łazienki, ciebie ma już tu nie być, panno Newton. I nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek zwracała się do mnie po imieniu. Jeśli jednak masz ochotę, zostaw wizytówkę z prywatnym numerem telefonu, może kiedyś będę chciał raz jeszcze poczuć twoje usta na swoim fiucie. – Odwróciłem się do niej plecami i skierowałem do łazienki.

– Skurwiel – usłyszałem za sobą, na co uśmiechnąłem się półgębkiem.

Wykorzystywałem kobiety do zaspokojenia własnych potrzeb i nie zamierzałem za to przepraszać.

Doprowadziłem się do porządku i wróciłem do gabinetu. Kiedy usiadłem za biurkiem, nie byłem za bardzo zdziwiony, gdy zobaczyłem, że na samym jego środku leżała biała wizytówka. Wziąłem ją do ręki, przyglądając się starannie zapisanemu numerowi komórki, po czym odsunąłem szufladę i wrzuciłem do środka. Zalogowałem się na komputerze i zabrałem do pracy, chcąc skończyć przegląd projektu, który podesłała jedna z firm szukających inwestora.

Po trzech godzinach wyłączyłem komputer i postanowiłem, że na dziś koniec ze sprawami firmy. Budynek opustoszał, a na zewnątrz panował mrok. Zamknąłem biuro i zjechałem windą do garażu. Limuzyny najczęściej używałem podczas pracy. Po godzinach jednakże lubiłem przesiąść się do swojego maserati i zrelaksować krótszą bądź dłuższą przejażdżką.

Czasami po prostu jeździłem bez celu po mieście, słuchając muzyki i przyglądając się tętniącemu życiu miasta. Tak też miało być i tym razem. Wsunąłem się na siedzenie kierowcy, zapiąłem pas i włączyłem odtwarzacz. Z głośników popłynęło *In A Perfect World*, jeden z moich ulubionych utworów grupy Kodaline. Przekręciłem kluczyk w stacyjce, budząc samochód do życia, i wyjechałem z parkingu.

Są chwile, kiedy przykro wraca się do pustego domu. Właśnie teraz nastał taki moment, więc odwlekałem go tak długo, jak mogłem. Lata samotności sprawiły, że stałem się outsiderem – i zazwyczaj było mi z tym dobrze. Ale raz na jakiś czas dopadało mnie zwątpienie. Pozwalałem sobie tęsknić za czymś, co lata temu mieli moi rodzice, a czego sam nigdy nie zamierzałem doświadczyć. Nie dlatego, że nie chciałem czy nie mogłem, ale dlatego, że w to nie wierzyłem. Z uczuciami wiązał się smutek i ból. Człowiek zakochany jest mniej czujny i narażony na nieprzyjemności. Jest słabszy, łatwiej go zranić. Dlatego już dziesięć lat temu obiecałem sobie, że nigdy nie pozwolę, by zawładnęła mną jakakolwiek kobieta. Oduczyłem się kochać i nikogo do siebie nie dopuszczałem, dzięki czemu unikałem zranienia. Zbudowałem wokół siebie tak gruby mur, że nikt ani nic nie było w stanie się przez niego przedrzeć.

Po godzinnej jeździe wróciłem do domu. Kolejną spędziłem na siłowni, zjadłem resztki wczorajszej kolacji i po szybkim prysznicu padłem na łóżko.

Zamknąłem oczy, lecz mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. Wspomnienia zaczęły napływać do mojego umysłu nadzwyczaj szybko. Działo się tak zawsze, gdy nie miałem nic do roboty.

– Ty, żebrak, spadaj z tego miejsca – usłyszałem za plecami nieznany mi głos.

Kiedy się odwróciłem, mój wzrok spoczął na wysokim blondynie w białej koszuli i granatowym swetrze przerzuconym przez ramiona.

– To było do mnie? – zapytałem grzecznie, poprawiając w dłoni torbę.

– A widzisz tu innego nędzarza?

Przesunąłem wzrokiem po wypacykowanych dzieciakach, które wręcz śmierdziały pieniędzmi, a ich poczucie wyższości biło po oczach.

– Nie, ja również nim nie jestem, więc nie życzę sobie, żebyś się tak do mnie zwracał – odparowałem, siląc się na spokój, po czym odwróciłem się do niego tyłem i postawiłem torbę na znajdującej się obok ławce.

Po chwili leżałem na ziemi, a wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. Blondyn, z którym wcześniej rozmawiałem, przyciskał wypolerowanego buta do mojej krtani, miażdżąc ją i odbierając mi dech.

– Słuchaj uważnie, łachmaniarzu. – Pochylił się, żeby mówić prosto w moją twarz. – Jestem ksiązę Albert Francisco Edward William Monterno i radzę ci traktować mnie z należytyym szacunkiem. W przeciwnym razie kolejne lata twojego życia tutaj zamienię w horror. Ja ustalę warunki, więc jeśli chcesz tu zostać choćby dzień dłużej i żyć z naszych pieniędzy, to radzę ci zamknąć gębę i wykonywać wszystkie moje polecenia. Inaczej wrócisz do tej swojej zapyziałej dziury i zginięsz razem ze swoją rodziną. Rozumiemy się? – Wzmocnił ucisk na moim gardle.

Przez brak powietrza oczy nabiegły mi łzami. Udało mi się jedynie wycharczeć ciche „tak”. Wtedy zabrał nogę z mojej szyi, splunął obok i zaczął odchodzić. Kiedy próbowałem się podnieść, zawrócił i pchnął mnie jeszcze raz tak, że wyładowałem na tyłku. Starając się nie rozplątać, popatrzyłem na twarze osób, które obserwowały całą scenę. Nie zareagowały w żaden sposób, nie pomogły mi, po prostu stały i gapiły się, szydząc z mojego nieszczęścia. Upokorzenie paliło mnie od wewnątrz, ale zaciskałem zęby, żeby się nie rozkleić i nie dać im satysfakcji.

Odwróciłem się w poszukiwaniu torby z podręcznikami, ale nigdzie jej nie dostrzegłem. Książki były własnością szkoły i ostrzegano mnie, bym ich nie zgubił, bo nie dostanę drugiego kompletu. Nie stać mnie było na kupienie nowych, a jeśli ich nie znajdę, nie będę miał wyjścia.

– Cholera! – przekląłem spanikowany, podrywając się na nogi.

– Zabrali ci ją – dobiegł mnie chłopięcy głos.

Uniosłem głowę i oszołomiony spojrzałem na ciemnookiego, niezwykle chudego i wysokiego chłopaka, który odprowadzał wzrokiem grupę dręczycieli.

– Tak łatwo nie odpuszczają, wierz mi – kontynuował, nim się odezwałem. – Przez rok zmagalem się z tym samym co ty, ale z innych powodów. Cóż mogę powiedzieć? Chyba tylko tyle, że będzie gorzej. Co prawda, uspokoili się, kiedy mój tata zainterweniował, ale jak powszechnie wiadomo, za tobą nie będzie miał się kto wstawić.

– Jak to „powszechnie wiadomo”? Skąd wiadomo? Wiedzą, że jestem na stypendium? Mówili, że nikt nie będzie wiedział prócz nauczycieli. – Do mojego głosu wkradła się panika.

– W takiej szkole jak ta wszyscy wiedzą o tobie wszystko, stać ich na to. A Albert jest wyjątkowo podły. Uważa, że jest tutaj najważniejszy i wszyscy mają się go słuchać.

Gniew przysłonił mi oczy. Nienawidziłem ludzi, którzy mieli wszystko i sztydzi z innych. Którzy uważali, że pieniądze czynią ich panami świata. Którzy karmili się krzywdą słabszych. Nienawidziłem takich ludzi, ponieważ przypominali mi o Thomasie Hendersonie – człowieku, przez którego moje życie całkowicie się zmieniło.

– Ja nie zamierzam – odparłem stanowczo.

– To się źle dla ciebie skończy. – Chuderlak westchnął. – Nie trafiłbyś tu, gdyby ci nie zależało. Po prostu uważaj – skwitował i ruszył w kierunku budynku, gdzie mieściła się biblioteka.

– Hej! – zawołałem za nim.

Zatrzymał się i posłał mi pytające spojrzenie.

– Jak masz na imię?

Uśmiechnął się szeroko, wrócił do mnie i wyciągnął dłoń, którą uściśnąłem.

– Benjamin Philipe Kane – przedstawił się z dumą.

– Ten Kane od oprogramowań?

– Nie, inny. – Wyszczерzył się, ukazując rząd białych, pokrytych żelastwem zębów.

– Brian Graves. Niezwykle mi miło cię poznać, Benjaminie.

Naprawdę cieszyłem się, że go poznałem. Być może znalazłem pierwszego w życiu przyjaciela, a w każdym razie sojusznika. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

– Ciebie również, Brianie, będziemy zgranym duetem. – Potarł palcami brodę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Duetem dwóch wyrzutków. – O ile to możliwe, jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Wyrzutków, którzy kiedyś pokażą tym gogusiom, na co ich stać. Czas jest naszym sprzymierzeńcem. – Odwzajemniłem uśmiech, choć mój był trochę oszczędniejszy.

– Już cię lubię, Brianie – rzucił, po czym oddalił się tam, dokąd zmierzzał, nim się na siebie natknęliśmy.

– Ja cię jeszcze nie znam, ale zamierzam poznać i wtedy powiem ci, co myślę! – Zaśmiałem się i ruszyłem w kierunku szkoły.

Najwyraźniej moje zmęczenie sięgnęło zenitu, ponieważ przysnąłem, lecz jak zwykle sen w moim wypadku nie wiązał się z odpoczynkiem. Dla mnie od zawsze była to walka, nieustanna bitwa. Przewracałem się z boku na bok, kiedy moją głowę zaatakował kolejny strzępek wspomnień.

PUNKT

3

Wayfaring Stranger – Ed Sheeran

Obudziłem się nagle i poderwałem na łóżku. W dłoniach ścisnąłem prześcieradło i ciężko oddychałem, usiłując się uspokoić i zapanować nad chaosem w głowie.

– Pieprzone sny! – krzyknąłem, uderzając w wezłowie łóżka.

Zerknąłem na zegarek, czerwone cyfry świeciły intensywnie, informując, że od godziny, o której codziennie wstaję, dzieli mnie jeszcze pięćdziesiąt minut. Wiedziałem, że nie zdołam ponownie zasnąć. Otarłszy z twarzy pot, opadłem na poduszkę i wbiłem wzrok w sufit. Wpatrując się w niego, usiłowałem skupić myśli na tym, co mnie dzisiaj czekało. Chciałem obmyślić plan działania.

Leżałem dopóty, dopóki ciszy nie przerwał dźwięk budzika. Szybko wstałem i zbiegłem do siłowni, by oddać się półgodzinnemu treningowi na bieżni, który pozwoli mi nabrać sił i naładuje energią na nowy dzień. Potem wylądowałem w łazience, gdzie poświęciłem dłuższą chwilę na relaks pod prysznicem. Po wszystkim zakręciłem wodę, owinałem biodra ręcznikiem i nie tracąc czasu na osuszenie się, ruszyłem do kuchni, żeby przygotować koktajl proteinowy, od lat stanowiący moje śniadanie.

Po wypiciu koktajlu i posprzątaniu po sobie wróciłem do sypialni, gdzie chwyciłem z komody telefon i wybrałem numer.

– Scott, bądź u mnie za dwadzieścia pięć ósma – poleciłem bez żadnego wstępu, gdy osoba po drugiej stronie linii odebrała, i nie czekając na odpowiedź, przerwałem połączenie.

Następnie zaszyłem się w garderobie, by wybrać garnitur. Dziś postawiłem na grafitowy, do tego popielata koszula i czarny krawat. Kiedy byłem gotów, ponownie zszedłem do kuchni. Czekala tam na mnie filiżanka mocnej czarnej kawy, przyszykowana przez panią Mirror, moją gosposię, która przychodziła pięć razy w tygodniu i każdego dnia przygotowywała dla mnie kawę, bym mógł się nią raczyć podczas piętnastominutowego studiowania prasy na skąpanym w promieniach słonecznych tarasie.

– Może zdąży pan coś zjeść, panie Wild? Kupiłam po drodze świeżutkie croissanty. Są jeszcze ciepłe – zaproponowała, wskazując talerz pełen pachnących rogali ze złotą skórką, który właśnie przede mną postawiła.

– Dziękuję, pani Mirror, ale muszę odmówić. Na mnie już pora.

Złożyłem gazetę i rzuciłem ją na stół. Wstałem, dopiłem szybko kawę i podawszy gosposi pustą filiżankę, zapiąłem guzik marynarki.

– Do widzenia, życzę spokojnego dnia. – Złapałem za aktówkę i nie czekając na odpowiedź, ruszyłem do wyjścia.

Dzień upłynął mi niezwykle szybko. Uczestniczyłem w kilku spotkaniach biznesowych, nawiązałem nową współpracę i odbyłem rozmowy z kandydatami na prawników. Wybór padł na absolwenta Yale, energicznego, pełnego pasji i woli walki trzydziestoletniego Jonathana Cassa. Właśnie kogoś takiego potrzebowałem do bitwy, jaką zamierzałem stoczyć z Hendersonem. Fakt, że patrzył na mnie z radością i niedowierzaniem, sprawił, że wydał mi się jeszcze lepszą osobą do roli mojej prawej ręki, a zarazem szpiega. Wszak wiadomo, że łatwiej sterować kimś, kto jest w ciebie wpatrzony i podziwia cię za to, co osiągnąłeś.

Po pracy postanowiłem wpaść do baru. Potrzebowałem chwili dla siebie, relaksu przed tym, co czeka mnie jutro. Bo właśnie jutro zamierzałem zacząć wcielać w życie swój plan. Jutro nastąpi początek końca klanu Hendersonów, a na pierwszy ogień pójdzie najmłodsza z ich rodu.

– Przyjedź po mnie za dwie godziny – powiedziałem do swojego szofera, zanim wysiadłem z limuzyny, i udałem się do Marquee, jednego z najbardziej prestiżowych klubów nocnych w Midtown. Byłem jego członkiem już od jakiegoś czasu i zdarzało mi się go odwiedzać, kiedy naszała mnie ochota.

– Panie Wild. – Ochroniarz podniósł linę, by wpuścić mnie do środka.

Kilka dziewczyn krzyczało za mną, bym zabrał je ze sobą, ale zignorowałem to i przestąpiłem próg budynku. Umiarkowanie głośna muzyka oraz wypełniona ludźmi sala przywitały mnie zaraz po zejściu do lochów.

– Witaj, Jackson – rzuciłem do barmana. – Podaj mi brandy, lekko schłodzoną, ale bez lodu.

– Już się robi, panie Wild.

Natychmiast się odwrócił i zabrał do przyrządzania mojego drinka.

Zdjąłem marynarkę i położyłem ją na wolnym hokerze stojącym tuż obok. Podwinąłem rękawy jasnoszarej koszuli, po czym oparłem przedramiona o krawędź blatu.

– Proszę bardzo. – Jackson postawił przede mną szklanke z bursztynowym płynem. – Czy mogę panu podać coś jeszcze?

– Na razie dziękuję. – Skinąłem głową, a następnie odwróciłem się z drinkiem w dłoni. Zacząłem lustrować wzrokiem salę, szukając kobiety, która będzie miała szczęście i zazna zaszczytu obciągnięcia mi dzisiejszej nocy.

Zauważyło mnie kilka dziewczyn z grupy tańczącej nieopodal mojego miejsca. Ich zachowanie i mowa ciała sugerowały, że były chętne mi służyć. Jednakże żadna nie sprostowała moim fizycznym

wymaganiom. Wśród nich królowała sztuczność. Skąpo odziane ciała, usta i piersi wypełnione silikonem, tlenione włosy i sztuczne paznokcie. Kto, kurwa, w ogóle chce czegoś takiego dotykać? Nie różnią się niczym od dmuchanych lalek, które można kupić w każdym sex-shopie.

Wychyliłem do końca swoją brandy i jednocześnie uniosłem dłoń, gestem prosząc o dolewkę.

– Podwójna – rzuciłem, kiedy Jackson podszedł z butelką.

Postawiłem przed nim szkło. Napełnił je alkoholem, a następnie zwrócił się do osoby, która właśnie podeszła do baru.

– Burbon bez lodu, podwójny – moje uszy wypełnił naznaczony subtelnością głos.

Zerknąłem w kierunku, z którego dochodził, i uniosłem w zdziwieniu brwi, widząc sięgającą po szklankę drobną postać. Z zainteresowaniem patrzyłem, jak ją przechyla, wlewając w siebie złocisty płyn.

– Imponujące – szepnąłem do siebie, popijając swojego drinka.

Dziewczyna musiała wyczuć moje spojrzenie, ponieważ zwróciła ku mnie głowę. Po ruchach jej ciała było widać, że jest skrępowana tym, że ktoś ją obserwuje. Rude, wyglądające na sztuczne loki spływały jej na ramiona, niewielkie piersi kryły się pod bladoróżowym sweterkiem, a dopasowane džinsy opinały kuszące ciało.

Uśmiechnąłem się do niej i unosząc delikatnie szklankę z alkoholem, opróżniłem ją do dna. Zmierzyła mnie wzrokiem, po czym odwróciła się, by powiedzieć coś do Jacksona, na tyle jednak cicho, że nie byłem w stanie zrozumieć słów. Do rudej podbiegły dwie dziewczyny, które zupełnie nie pasowały do niej wyglądem. Po designerskich ciuchach wywnioskowałem, że były zamożniejsze, co rzucało się w oczy, ona natomiast wyglądała całkiem przeciętnie oraz zadziwiająco skromnie.

Kiedy barman postawił ich zamówienie na blacie, zgarnęły szybko alkohol i wmieszały się w podrygującą na parkiecie gru-

pę. Jeszcze przez kilka chwil wlepiąłem wzrok w miejsce, gdzie zniknęła dziewczyna, która swoją zwyczajnością skupiła na sobie moją uwagę.

– Panie Wild? – zagadał do mnie Jackson.

Spojrzałem na niego, a ten przesunął w moim kierunku szklankę. Uniosłem pytająco brew.

– Od rudzielca w džinsach – uprzedził moje pytanie.

Przez chwilę się wahałem, ale ostatecznie pochwyciłem szklankę i przytrzymałem ją chwilę w dłoni, pozwalając bursztynowemu płynowi nieco się ogrzać. Upiłem odrobinę, rozkoszując się uczuciem palenia w gardle.

Nagle wstałem, czym zaskoczyłem sam siebie. Zabrałem marynarkę i wprawiłem nogi w ruch. Brnąłem przed siebie, przebijając się przez tłum spoconych ciał. Kilka razy próbowano mnie zatrzymać, wciągnąć w gorący taniec zmysłów, jednak moje myśli skupiały się tylko na tym, by odnaleźć dziewczynę.

Dostrzegłem ją wśród licznej grupy kobiet i mężczyzn. Musiała poczuć na sobie mój wzrok, ponieważ jej oczy powędrowały w moją stronę i natychmiast rozszerzyły się w zdziwieniu. Uniosłem ku niej szklankę i wziąłem porządny łyk alkoholu.

– O mój Boże! Przyszedłeś po mnie? Powiedz, że tak! – pisnęła siedząca naprzeciw rudej brunetka.

Uśmiechnąłem się połowicznie i podeszedłem do nich.

– Dziękuję za drinka – odezwałem się do rudej, stawiając pustą już szklankę na stoliku. – Mógłbym się jakoś odwdziaczyć?

– Tak, spadając stąd, dziadku. – Obejmujący ją ramieniem brunet zarechotał. Dziewczyna wydawała się zawstydzona.

Zmroziłem go spojrzeniem i ignorując jego słowa, wyciągnąłem dłoń do rudej. Ta po chwili wahania ucisnęła ją, a kiedy najmniej się tego spodziewała, przyciągnąłem dziewczynę do siebie, chwyciłem jej twarz w dłonie i pocałowałem tak żarliwie, z taką żądzą, jakiej już od dawna nie doświadczyłem. Czułem, jak jej ciało mięknie pod wpływem pocałunku, co jeszcze bar-

dziej mnie nakręcało. Początkowe zdziwienie oraz brak reakcji z jej strony sprawiły, że mocniej naparłem na jej wargi. W końcu oddała mi pocałunek z równą pasją.

Kiedy oderwałem od niej usta i spojrzałem w wielkie brązowe oczy, poczułem gdzieś głęboko wewnątrz uklucie. Odsunąłem się natychmiast, przerażony czymś, co wydało mi się kompletnie obce. Zerknąłem przelotnie na chłopaka, któremu ze złości i poniżenia, jakie mu zafundowałem, zaczęła na czole wściekle pulsować żyła, a białka oczu rozblysnęły w półmroku klubu.

– Ucz się od starszych, dzieciaku, i zmień pieluchę, którą, jak sądzę, właśnie zmoczyłeś – zadrwiłem, posyłając mu szelmowski uśmiech. – Twoja dziewczyna smakuje obłądnie – dodałem, oblizując nabrzmiałe od pocałunku usta. – Drogie panie, życzę miłego wieczoru. – Ukłoniłem się przesadnie nisko, po czym ruszyłem w kierunku wyjścia.